

## Dukt, fragmenty

----- Mr A.R. Dorse -----

Idę kamienistą plażą, cienkie podeszwy sandałów źle znoszą poranny spacer. Mocne letnie słońce z łatwością przebija się przez zamglone niebo, mimo wczesnej pory jest ciepło, nawet parno. Przystaję, czuję jeszcze znużenie wczorajszą całodzienną podróżą. Może właśnie teraz objawia się z całą siłą zmęczenie minionym rokiem – rokiem praktyk, końcowych egzaminów, dyplomu? Miesiąc wakacji w samotnej chatce nad brzegiem morza to zdecydowanie dobry pomysł. „Wynajmują ją zwykle Holendrzy, ale w tym roku stoi pusta. Wygód szczególnych nie ma, za to spokój i cisza. I cena przystępna – dla młodego człowieka nie jest to chyba bez znaczenia. W odległości kilometra jest, co prawda, duża letnia rezydencja, ale właściciel – jak nam wiadomo – to człowiek dyskretny, zaś w pobliskim miasteczku kupi pan wszystko, co potrzebne, by znośnie spędzić parę tygodni na plaży”. Robi się gorąco i ani mi w głowie dalsze wędrowanie po kamieniach, gdy dostrzegam w oddali niewysokie, pobłyskujące wesołą zielenią wzgórze. Rezydencja? Może jutro? W solidnych butach? A może jutro nie? A może wcale nie? Podrzucam wysoko czapkę. I jeszcze raz, i jeszcze. Głośno krzyczę i podrywam do lotu kilka przysypiających mew. Zawracam, brodząc dłuższą chwilę przy brzegu, fale ledwo-ledwo, woda podpływa bezszelestnie, jest doskonale przezroczysta i ma barwę seledynową. Dostrzegam na dnie kilka jeżowców i jeszcze niedużą meduzę, zanurzam ostrożnie rękę, wtem czuję, że ktoś za mną stoi.

„Mówi pan po angielsku? To doskonale. Czyste wody to prawdziwy skarb tej zatoki. Adrian Robert Dorse. Nazywam się Adrian Robert Dorse. Z domu na tamtej górze. Pomieszkuję tu od maja do września. A pan? Jest pan tym nowym letnikiem? Wiem od ludzi z agencji, że tego lata będę miał innego sąsiada. To dobrze, bo ten rok jest szczególny. Filip? Philippos, czyli ‘Przyjaciel koni’. Filip, ojciec wielkiego Aleksandra. Bardzo mi miło. Czy rzeczywiście kocha pan konie? Nic nie szkodzi, przyjacielu, ja też wolę grecką piechotę. Czy mogę pana kawalek odprowadzić?”. Nie jest aż tak wymowny, jak mi się z początku zdawało, ale rozmawia chętnie, mówi swobodnie i odnoszę wrażenie, że stara się pełnić, tu nad zatoką, rolę gospodarza. Chudy, wysoki, lekko przygarbiony, w letnim lnianym garniturze i słomkowym kapeluszu, jest jednym z tych zabawnych, dystygowanych dżentelmenów ze starej dobrej Anglii, spędzających wakacje w przyjaznym klimacie w otoczeniu przyjaciół albo – inna wersja – w towarzystwie dalekich, ubogich krewnych. Angielszczyzna pana

Dorse'a jest klarowna, akademicka, rozumiem go bez większych trudności. Czuję, że bardzo się stara i doceniam to. Jestem w stosunku do niego grzeczny i uprzejmy, chociaż mówię raczej powściągliwie. „Cóż, ma pan przed sobą świeżo upieczona absolwenta wydziału prawa. Nie, jeszcze nie zdecydowałem, co będę robił dalej. Może jakaś aplikacja? Ale rozważam też wariant kariery politycznej, staż w biurze poselskim byłby wcale na miejscu. Pociąga mnie jednak podróżowanie, może na rok wyjadę do Stanów i powłóczę się trochę? Potem już praca, stabilizacja, małżeństwo, dzieci, no wie pan, i koniec z marzeń o szerokim świecie... Dorse słucha – tak mi się wydaje – uważnie, z sympatią, od czasu do czasu uśmiecha się łagodnie. Kładzie mi rękę na ramieniu i chwilę idziemy w milczeniu. Lekko, prawie niezauważalnie utyka. Kamyki chrupią pod nogami. „Według pewnego grecko-rzymskiego myśliciela, najniżej w hierarchii sytuują się sztuki wytwarzające przedmioty zmysłowe, takie jak budownictwo czy stolarstwo, ponad nimi są te, które wspomagają naturę, a więc na przykład uprawa roli, wyżej mamy sztuki naśladujące, takie jak malarstwo, jeszcze wyżej te, które ulepszają działania, np. rządy, i wreszcie uwieńczeniem są sztuki, nauki umysłowe, na przykład geometria. A zatem, mój miły Filipie – mogę się tak się zwracać? – będziesz tuż pod szczytem, oczywiście wedle poglądu starego filozofa. Wcale nieźle. Inni mają się gorzej. A teraz pozwól, rzeknę parę słów o sobie. Ponieważ chcę cię zaprosić do nas, do „Elliniko Spiti” na małe spotkanie, co wymaga jednak krótkiego wprowadzenia”.

Czy słyszałem o rekonstruktywizmie? O *ellinismos*? Powtarza wyraźnie słowo, rozsądnie zakładając, że nie znam pojęcia. Otóż – wyjaśnia – rekonstruktywizm jest próbą odtworzenia wiary w dawnych bogów. Kładzie mi palec na ustach, gdy od razu chcę o coś zapytać. Ma na myśli bogów greckich. Zeus, Atena, Apollo, na pewno znam grecką mitologię, na pewno czytałem *Iliadę*, może także *Odyseję*? Są też rekonstrukcje egipskie, germańskie, celtyckie, nawet słowiańskie, ale one wszystkie nie warte są uwagi (może poza tymi spod piramid). Z wiadomych powodów. Tak jak się ma prawda do fikcji. Chciałby być dobrze zrozumiany, bo widzi rozbawienie w moich oczach. Nie chodzi o prymitywny panteon popędliwych, kłótliwych, zawistnych bóstw, ludziom podobnych, wymyślonych przez Hezjoda, Homera i innych. W dwóch słowach on to rozumie tak: Zeus jest Ojcem-Stworzycielem, dobrem absolutnym, wiecznym i niezmiennym, oprócz niego są bogowie olimpijscy, nieliczni, bezcieleśni, których emanacje czasem dostrzegamy, a dalej liczni pomniejsi bogowie i ziemskie demony – na co jest przecież tyle dowodów. Znasz jakiegoś demona, Filipie? No właśnie, niejednego! Z różnych względów on, Dorse, nie akceptuje poglądu galilejczyków i uważa, że prawdziwa wiara, szlachetna, racjonalna wiara w greckich bogów została wyparta

przez chrześcijański zabobon, judejską chorobę i knowania tego inteligentnego Żyda, Szawła, zwanego Pawłem. „Wierzę, choć to absurdalne”. Absurdalne, zaiste. Ha, takie były czasy, tak się toczyła historia, upadały imperia, powstawały nowe, ludzie byli zagubieni, właściwie trudno im się dziwić. Bliski jest mu Julian, Julian Apostata. A także Bizantyjczyk z piętnastego wieku, Jerzy Gemistos. Obaj próbowali, w różnym czasie, choć im się nie udało. Im nie... A przecież *ktema es aei*, to nasz wiecznotrwały dobytek. Dorse zatrzymuje się, ociera chusteczką pot z czoła. Patrzy na mnie przeprasząc. Czy mnie aby nie spłoszył? Przechodzi więc szybko do sedna. Co roku w czasie wakacji zaprasza do „Elliniko Spiti”, na swój „Olimp” grono przyjaciół, znajomych. W miłej, odpowiedniej scenerii reaktywują razem greckie obyczaje, wspominają starą wiarę. Dla jednych to zabawa, *fun*, dla innych może coś więcej. Musi przyznać z bólem, że nie lubi współczesnej Grecji, nie cierpi jej mieszkańców. Są hałaśliwi, kłamliwi i brudni. Ale pradawna Hellada może być wszędzie. Jeśli Filip zechce przyjąć jego zaproszenie na sobotni sympozjon, coś w rodzaju uczyty bogów, to będzie wspaniale. Wszyscy będą zachwyceni, on, Adrian, najbardziej. W okolicy nie ma zbyt wielu rozrywek, a on wino ma wyborne, sprowadza je z Krety. Prawdziwa ambrozja. Ambrozja, znów uśmiecha się łagodnie, nieco ironicznie, i nektar dają nieśmiertelność. Nektaru niestety już nie ma, skończył się przed tygodniem, a nowy jeszcze nie nadszedł. Są gry, konkursy, jest muzyka. Kucharz przyrządzi *scharas*, rybę z rusztu z zieloną sałatą i oliwkami. Będą też pieczone żółędzie. Naprawdę. Odwraca się w stronę morza, zdejmuje kapelusz, unosi ręce.

„Z bogów najpotężniejszy, wieloimienny, wszechmocny,  
Zeusie, władco przyrody, wszystkim przez prawo rządzący,  
Witaj – bo wszyscy śmiertelni ciebie wysławiać winniśmy.  
Z ciebie jednego ród wiedzie i tobie swe życie zawdzięcza  
Wszystko, co żyje na ziemi, co w ruchu i dźwięku ma udział.  
Zawsze wiec będę cię sławił i zawsze twą siłę opiewał...<sup>1</sup>

No tak, czas wracać – wachluje się kapeluszem – nie chcę maszerować w palącym południowym słońcu. A zatem do soboty, czy tak, drogi Filipie?”

#### ----- Olimp -----

Na to niewielkie wzgórze wspinam się już dobrą godzinę, ścieżka to pnie się, to opada, kluczy, kręci, zawraca. Wyszedłem w końcu z gęstych zarośli makii, droga wiedzie teraz

---

<sup>1</sup> Kleanthes, *Hymn do Zeusa*, De Vogel 920 b

ostro pod górę, z prawej mam strome zbocze, właściwie przepaść, z lewej ocieram się o ostre występy zimnych skał. Poruszam się ostrożnie, nagle ogarniają mnie gęste mleczne opary, podpieram się kawałkiem gałęzi, którą odłamałem z koślawego drzewa. Słyszę krakanie wron. Zrobiło się chłodno, siąpi deszcz, czuję, że ręce mi marzną, wściekły jestem bliski zawrócenia, już decyduję się na powrót, stawiam jeszcze dwa-trzy kroki, gdy naraz mgła opada, zza chmur wychodzi ostre słońce, przed oczami mam teraz rozległą, pełną kwiatów łąkę. Idę, omijając cierpliwie storczyki i lilie, niezdarnie depczę wyrastające spod nóg narcyzy, przestraszony łamię jakiś krzak różany, na czworakach pełnę pod nieskończonymi rzędami winorośli i wchodzę do gęstego gaju, pomiędzy oleandry, migdałowce, eukaliptusy i pinie. Rozcieram w palcach liście lauru, zapachy odurzają mnie, osuwam się na ziemię, leżę jakąś chwilę, słucham śpiewu ptaków, wiem, że muszę wstać, wstać czym prędzej, podnoszę się ociężale, ranię sobie palec o kolec akacji, krew kapie obficie, w miejscu, gdzie padnie kropla, natychmiast wyrasta asfodel, dostrzegam wreszcie wąską przecinkę, słaniając się wybiegam na otwartą przestrzeń, oddycham głęboko, ból głowy mija tak szybko jak szybko się pojawił, rząd platanowców wirując prowadzi mnie do ogrodzenia. Przed otwartą na oścież bramą, nad którą zawieszono tablicę z napisem „Niczego za wiele”, stoi Dorse i zanosi się śmiechem. „Witamy w ‘Elliniko Spiti’. I jak znajdujesz mój Olimp, Filipie? A to nie koniec, nie koniec, to dopiero początek. Zapraszam do środka, mój dom jest odtąd twoim. *Xenia*, gościnność, to najważniejsza z cnót. Niebawem zaczynamy, boginie i bogowie już nie mogą się ciebie doczekać. Chodź, chcę ci przedstawić twojego opiekuna i przewodnika”.

Prowadzi mnie alejkami, wykładanymi kolorową mozaiką, mijamy sadzawkę z dużymi czerwonymi rybami, wokół której rozstawiono marmurowe rzeźby i gliniane amfory, „gdzież znajdziesz taki czar, doskonałość, symetrię, jak nie w greckiej formie?”, widać już jednopiętrowy biały dom, obrośnięty bluszczem i liliową bugenwillą, pawilonowy, z płaskim dachem, dół otwarty, przeszklony, okna na górze szczelnie zasłonięto wermilionowymi żaluzjami, „tam są tylko sypialnie”, przechodzimy przez patio otoczone kolumnadą, od wejścia do domu mamy towarzysza, mała oswojona łasicą mknie pod naszymi nogami, „to zwierzątko w greckim domu było czymś w rodzaju naszego kota”, przy małym ołtarzyku Dorse mruczy coś pod nosem, zapala wonne kadzidełko, „pierwsza i ostania ofiara zawsze należy się Hestii”, przyciąga mnie do siebie, skrapia mi skroń i czoło wodą, czuję na wargach smak soli i czosnku, „wybacz, to na wypadek, gdybyś był nieczysty”, posypuje mi głowę figami, orzechami, drobnymi cukierkami, „teraz należysz do rodziny”, bierze mnie za rękę i wchodzimy do dużej sali, zalanej światłem, widzę ustawione w krąg stoły i sofy, na nich ludzi, blask prawie mnie oślepia, „to właśnie jest Filip, Bogowie”...

## Apendyks

O lwie i myszoscoczku. Bajka z „Elliniko Spiti”

Zaprzagnął lew, król zwierząt, odpocząć od swoich obowiązków. Zwołał więc zebranie wszystkich leśnych stworzeń i tak im rzecze: „Wybieram się za morze do moich krewniaków, ale długo tam nie zabawię. Na czas mojej nieobecności wybierzcie spośród siebie mojego zastępcę. Jak wrócę, zda mi relację ze swego panowania. Po tych słowach lew zaryczał głośno i zniknął w gęstwinie.

Nie było go jakiś czas. Znudziło mu się w końcu na obczyźnie i wrócił do lasu. Idzie, patrzy, niby wszystko takie samo, ale jakby inne. Zobaczył lisa.

– Hej, lisie, podejdźże tu na chwilę. A któż to został królem na czas mojej nieobecności? Zapewne niedźwiedź. Wielką ma siłę i potężną posturę...

– Nie, Panie.

– A więc na pewno wilk. Znany z niego wojownik.

– Nie, Panie, nie wilk.

– A zatem orzeł. Lot ma dostojny i wzrok wyśmienity.

– Nie, orzeł nie jest nowym królem.

– To może jeleń? Rączy, szybkonogi jeleń?

– I on także nie.

– Któż więc? Jeśli nie jest to ani niedźwiedź, ani wilk, nie orzeł i nie jeleń?

– Oto my sami nie wiemy, Panie. Nikt go tak naprawdę nie widział. Różnie mówią: że to kret, albo jeź, albo mała ryjówka, a najpewniej myszoscoczek, ale nic pewnego. Co gorsza, nikt nie wie jak i kiedy się to stało.

– Myszoscoczek? A cóż to takiego? Nigdy nie widziałem tego stworzenia! I ktoś taki miałby być królem? No, dość tych bzdur, wracam na mój tron!

– Oj, Panie, chyba nic z tego nie będzie.

– Nie złość mnie lisie, bym nie musiał cię pożreć!

– I z tego także nic nie będzie. Teraz wszystkie zwierzęta jedzą trawę, korzonki i żołądzie. Ja już prawie się nauczyłem i wcale nie jestem głodny. Wcale.

Załkał lis, podwinął kitę i czmychnął w głąb lasu. A lew? Mówią, że siedzi za morzem.

Ryszard Lenc